

zamyślił i nic nie mówił. Wolfgang też nie prze-
rywał milczenia, wpatrzony w smętny obraz swo-
ich lat chłopięcych. Przejechali kilka stacji w mil-
czeniu, pogrążeni w myślach, widać wcale nie
wesołych, bo twarze ich były smętne.

VI.

— Alltroppen! — zawołał konduktor, gdy po-
ciąg zatrzymał się na stacyi.

— Wsiadamy mój przyjacielu — rzekł Dos-
senau.

Przed dworcem stał powóz, cokolwiek staro-
świecki, ale czysty, porządny; konie nie paradne,
ale silne i zdrowe. Na koźle służący w ubraniu
wieśniaczem, wcale malowniczym.

Nie zatrzymując się wcale pojechali wyciągnię-
tym kłusem. Wolfgang myślał, że pojadą nie dłu-
go, skoro stacja kolejowa jest w majątku Dosse-
naua, ale już dobra upłynęła godzina, a końca
podróży nie było. Niebo zasunęło się chmurami,
dokoła było dość ponuro, bo okolica jednostajna,
pagórkowata, lesista. Powóz skręcił
z gościńca na drogę leśną i trząśł
podróżnych na korzeniach drzew,
na wysterczających z ziemi kamie-
niach, aż wreszcie ukazało się oczom
stare zamczysko.

Właściwie były to już rozwaliny.
Z wieży zamkowej zaledwie kadłub
pozostał; lewe skrzydło zamku bez
dachu, do pół piętra zwalone, po-
rosło mchem i młodą brzošką, która
się na kamieniach zasiała. Tylko na
prawem skrzydle widać było mie-
szkania. Zamek pochodził z XIV
wieku i godziem był staranniejszej
opieki.

Doznane wrażenia, dzień ponu-
ry, umczenie drogą i widok tych
rozwałin smętnie nastroiły Wolfgan-
ga. Spozrzegł to Dossenau, uśmie-
chnął się i rzekł:

— Myślisz, że tu barbarzyńcy
mieszkają, skoro zamek w gruzach,
a to co zamieszkałe, zrestaurowane
po partacku. Zamek istotnie był w
zaniedbaniu, jak tyle innych na ca-
łym świecie. Gdy postanowiłem tu
mieszkać, zrestaurowałem na prędce
kilka pokoi, ot tymczasowo, zanim
się wszystko starannie odbuduje. Ale
mimo tego nie będzie ci tu smutno
kochany doktorze.

Stanęli przed bramą zamkową.
Dossenau zlął na wstępie służące-
go za jakieś tam dostrzeżone nie-
dbalstwo, przybyłej służbie prędko
powydawał rozmaite rozkazy i już
miał zająć się swoim gościem, gdy
z poza muru wysunęła się ciekawa
postać. Był to człowiek średniego
wzrostu, barczysty, silnie zbudowa-
ny. Głowa pokryta zbielałym wło-
sem. Biała broda sięgała mu nie-
mal do pasa. Ubrany był w kurtkę
strzelecką. Wysunął się z poza mu-
ru nieśmiało, zdjął uniżenie ka-
pelusz i rzekł głosem łagodnym, u-
przejmym:

— Co za szczęście, że też jaśnie
pan wrócił. Chwała Bogu! Bardzo tu było smu-
tno. Wyczekiwałem też niecierpliwie powrotu ja-
śnie pana.

Dossenau podał staremu rękę, uściśnął ją po
przyjacielsku, ale skrzywił się przy tem, jakby
widok starca nie był mu w tej chwili na rękę.

— Dziękuję ci kochany Barlow, wiem, żeś
prawdziwym moim przyjacielem. No, nie można
było wcześniej powrócić. Dobrze tu wszystko? Jak
się ma Helena?

— Wszystko dobrze. To biedactwo moje po-
święca się dla mnie starego, nie odstępuje mnie
na krok i życie sobie kwasi. Ciężkie to dla mnie
strapienie.

— No, no — nie będzie to tak wiecznie trwa-
ło; doczeka się i ona lepszej przyszłości. No, po-
zdrów tam kochany Barlow, Helenę odemnie i po-
proś, aby mnie odwiedziła. Dobranoc ci kochany
przyjacielu.

Stary nie ruszał się z miejsca, jakby chciał
jeszcze coś powiedzieć. Zniecierpliwiony Dossenau
zapytał szorstko:

— Czy może znowu jaka stara historia?

— Tak jaśnie panie, ważna rzecz, bardzo wa-
żna, muszę zaraz powiedzieć.

Mówił to z wielkiem wzruszeniem, głos mu
drżał, jakby już płaczem miał wybuchnąć.

— A chodźże nudziarzu! Przepraszam cię dok-
torze; zaraz ci służę. Hej! gamoniu jakiś, jakże
się ruszasz, prędzej tam przyrządzać pokój dla
pana doktora. Pozwól mój drogi, pójdziemy tym-
czasem do mego pokoju i tego starego zabie-
rzemy.

Szli przez stary gotycki kurytarz, przypomina-
jący cokolwiek średniowieczne budynki klasztorne.
Powaga starożytności roztaczała się dokoła. Tu
znać było jakiś fragment zniszczonej już orna-
mentyki ponad drzwiami, tu jeszcze stare odwie-
czne drzwi żelazne, nabijane kolcami.

Na końcu kurytarza był ogromny pokój o go-
tyckiem sklepieniu, ale urządzony nowocześnie.
Tutaj się zatrzymali.

Dossenau rzucił czapkę na stół, zapalił fajkę,
wyciągnął rękę do doktora i odezwał się, jakby
z ojcowską poufałością:

— Wybacz, że nie wyprawiam żadnej cere-
monii, niech ci się zdaje, żeś u ojca, albo u wu-



»A przecież coś mi tam w duszy mówi głośno, że ja go odkryję!...«

ja, a bodaj u szczerzego przyjaciela. Tutaj u mnie
możesz tak być, jak w swoim własnym domu.
Tymczasem przepraszam cię, że pogadam z moim
starym przyjacielem, bo już widzę, że nie może
utrzymać języka za zębami. No i cóż Barlow?
Mówże teraz, co ci się tam znowu przywidziało.

— To nie przywidzenie jaśnie panie! Oho!
teraz to już na prawdę odkryłem zbrodniarza.

— Jakież ty stary uparty. Tyle razy naka-
zywałem ci, żebyś o tej całej historii już raz za-
pomniał, nie martwił się, nie zabijał próżnem szu-
kaniem. Ty z tego wszystkiego jeszcze zwaryujesz.
A pomyślno o tej biednej Helenie. Przecież ona
niema już matki, ani rodzeństwa, tylko ciebie je-
dnego.

Starzec miał kapelusz w ręce, lzy mu spłyne-
ły z oczu i odezwał się cały rozrzewniony:

— Prawda — panie. Jaśnie pan jest moim
prawdziwym dobroczyńcą; jaśnie pan opiekuje się
mną i dzieckiem mojem. Ja też wdzięczny jestem,
przywiązany, dałbym życia za jaśnie pana, ale te-
go bólu, co go noszę lat trzydzieści, pozbyć się nie
mogę. Cześć panie, cześć uczciwego nazwiska, to
jaśnie panie święta rzecz.

— No to mówże, mów! stary nudziarzu.

Barlow spojrzął na doktora, to znowu na Dos-
senaua, jakby chciał zapytać, czy przy obcym mó-
wić mu wypada.

— Mów stary, mów śmiało. Pan doktor może
wszystko słyszeć i o wszystkim wiedzieć.

— Czy jaśnie pan przypomina sobie Filipa
Truttmana? On teraz kupił sobie gospodarstwo
w Schwarzenstein. To niedaleko stąd; może z ja-
kie półtorej mili.

— Nie, nie pamiętam. Czy to może ten Trutt-
man ma być winowajcą?

— Tak mi się zdaje, jaśnie panie. On był u
nas jeszcze za czasów nieboszczyka starszego pa-
na; służył do koni. Był to chłopak strasznie zły;
fałszywy, chytry, a przy tem tak gwałtowny, że
o lada głupstwo brał się do bitki. Nad końmi się
znęcał strasznie. Raz pobił parobka tak bardzo, że
chłop o mało nie umarł, no i wtedy zamknęli go
w kryminale.

— No i cóż dalej?

— Przypomniałem ja sobie, że nieboszczyk
starszy pan wypędził go ze służby jakoś na dwa
lata przed owym nieszczęściem. A
stało się to na żądanie pana Ericha.

— Ależ to temu już lat trzy-
dzieści i dwa i ty stary przyja-
cielu tak dobrze o tem pamiętasz?

— Owego dnia nie zapomniabym
i po stu latach. Oj, jaśnie panie, toć
to przecie strasza była rzecz. To
taka historia. Nieboszczyk starszy
pan kupił konia na wyścigach, za
kilka tysięcy marek. Piękny to był
koń, ale trochę narowisty. Niebo-
szczyk starszy pan oddał tego konia
Filipowi. Raz się tak przytrafiło, że
się koń coś znarowił i nie dał sobie
nałożyć siodła. Filip wściekł się ze
złości i zaczyna koniem siepać, ko-
pać, aż mało mu było i tego, i ko-
nia dragiem zwał. Na to wszedł
pan Erich do stajni i wszystko zo-
baczył. Uniesiony gniewem krzy-
knął na Filipa i uderzył go trzcina
przez głowę tak, że mu się krew pu-
ściła. Filip rzuca się na pana Eri-
cha, chwytając go jedną ręką za gar-
dło i byłby go niezawodnie udusił,
gdyby nie to, że ja na szczęście
i leśny, co był ze mną, przechodzili-
śmy koło stajni. Taki był Filip roz-
juszony, że ledwieśmy pana Eri-
cha z rąk jego wydrzeć zdołali. O-
czywiście, że go nieboszczyk pan na-
tychmiast ze służby wypędził, ale to
łajdaczyśko nie odeszło spokojnie.
Przezywał, przeklinał i odgrażał się
zemstą.

— To dopiero teraz odkryłeś,
gdzie przebywa?

— A teraz! przez długie lata
nigdzie go nie było, nikt o nim nie
słyszał. Teraz dopiero osiadł w
Schwarzenstein. Powiadają ludzie, że
cała wieś go nie lubi, że wszyscy
od niego stronią, bo jest taki sam,
jak był dawniej. Nikomu nie powie
dobrego słowa, z każdym zadziera i
jeszcze na starość bitki rozpoczyna.

— Ale czy masz jakie dowody
na to?

— Żadnych!

— Ot, urojenie mój drogi, jak było tyle in-
nych! Gdyby taki człowiek gwałtowny chciał się
był zemścić, to byłby to uczynił odrazu, a dwóch
lat na to nie czekał. Tacy ludzie działają zawsze
pod wpływem pierwszego uniesienia. Zresztą mó-
wiłem ci już nieraz, że ja domyślam się, kto był
zbrodniarzem. Zresztą, czy tak, czy owak, ja za-
pewniam, że Filip Truttman owej zbrodni nie speł-
nił. Czy wierzysz mi Barlow?

Wolfgang z początku interesował się tą roz-
mową niewiele, ale rzewny głos starca i jego
szlachetna postać zaczęły go pociągać ku sobie.
Słuchał też uważnie i przypatrywał się staremu
leśniczemu. Dziwnie twarz jego przedstawiała prze-
miany; gdy opowiadał o Truttmanie — miał na
twarzy wyraz zadowolenia, nawet poniekąd i ra-
dości, jak człowiek, który doczekał się spełnienia
długoletnich, gorących pragnień. Po ostatnich sło-
wach Dossenaua zmienił się starzec zupełnie. Gło-
wę pochylił, zgarbił się, na twarzy pojawiła się
strasza bolesć duszy. Przed chwilą był krzepki,
zwawy, teraz zgnębiony, złamany, upadły na du-
chu...

(Ciąg dalszy nastąpi).